

*Niebieskie kartki*

**N**a Witkacym w Teatrze Narodowym. Czysto, ładnie pokazana „Mątwą”, uzupełniona „Janem Maciejem Królem Wścieklicą”; popis dwu kobiet (Wandy Laskowskiej i Zofii Pietrusińskiej). Znow to sobie potwierdziłem: siła Witkacego to język, żargon ucznia zamkniętego w pokoju, odpowiadającego cytatami lektury bogatej choć ograniczonej, słuchającymi kilku określonym, łatwo dającym się wychwycić, problemom, które mu żyć nie dają, upił się nimi. Oto one: 1) Byt: — dlaczego, po co żyjemy? Zdumiewa ubóstwo podobnych zagadnień w naszej literaturze; jest to prawdopodobnie skutek ciągłego zachwiania państwowości, nieustannych nieszczęść narodowych, niepodległościowych, przesłaniających jako bardziej pałace wszystkie inne; (na dobrą sprawę nie mamy także ani jednego prawdziwego romansu, ani jednej postaci kobiecej „wzorcowej”). 2) Katastrofizm zmagający aktualność pisarza; na dobre dopiero teraz zrozumieliśmy, co to groźba totalnej zagłady kultury. 3) Pleć: baby, babsztyle, kobiety, kobietony płacące fałszywą monetą, oplątujące ofiary, wpędzające je w piekło; prawdziwe „mątwy”; Witkacy jest naszym jedynym pisarzem, czującym siłę, zapach seksu; nie ma w nim nic z belfra panoszącego się nie tylko w naszej krytyce, w końcu tę

dziedzinę można by rzucić na pożarcie, choć i to nieszczęście, ale i w beletrystyce. 4) Sztuka i gentusz. Te cztery problemy zawsze wymieszane, zawsze zbite w kaszę, mieszczą się w każdej niemal wypowiedzi każdej postaci. Ale mimo to nie jest to teatr problemów nigdy nie ma ich tu w stanie czystym; ten pisarz marzący o czystości, o Czystej Formie nie dorósł do nich, jest zaprzeczeniem czystości. Nie daje on także nigdy dramatu, nie bardzo nawet rozumie, czym jest dramat; jest udręczony przez zbyt wiele spraw na raz; („nie umiał żyć”) W gruncie rzeczy jest to zawsze teatr jednego jedynego człowieka, któremu nigdy nie udaje się uwolnić od siebie nawet na tak krótki czas, żeby świat zobaczyć nie poprzez swoje, bardzo szczególne, wnętrza. Zawsze daje siebie wraz z pełnym bukietem. To, iż nie stać go na odejście od siebie na krok, widać właśnie w języku. Bez względu na to, kto, gdzie, co mówi, słyszymy zawsze prawie to samo. Należy do tych, którzy każdą kwestię muszą doprowadzić do określonego rytmu, do melodii wią z a n k o w e j, któ-

ra jedyna zadowala ich ucho, do „k a s z y”. Temu rytmowi, tej melodii podlegają u niego wszyscy. Postacie dawno zmarłe, które wracają na scenę dla kostiumu, dla koloru, mówią tak jak inne. Nawet tam, gdzie język staje się kwestią bytu lub niebytu, jak w wypadku Jana Macieja Karola Wścieklicy, chłopca, który doszedł do prezydentury, który nie może się uwolnić od zapachu swej mowy, o czym sam mówi, nawet tutaj Witkacy jest bezsilny. Pewnych rzeczy nie umie, nie może zrobić, nie może odejść od swojej szczególnej, tak charakterystycznej dlań stylistyki. Teatr Witkacego jest teatrem Witkacego. Nieudanego dramaturga. Nieudanego malarza. Nieudanego filozofa. Jednakże niepodobnego do nikogo innego, wielkiego w swym kalectwie.

**Z**wykle pierwszy zaczynam się śmiać na jego sztukach. Kiedyś przyszło mi na myśl, iż smutny Boy prawdopodobnie także pierwszy się zaczął śmiać. Ale należą także do tych, którym śmiech najprędzej przechodzi. W jakiejś recenzji Irzy-

kowski zarzuca Witkacemu, iż się tanio bawi. W latach dwudziestych można go było i tak odczytać, choć nie dowodzi to zbytnej muzykalności ucha, przeciwnie, trzeba było być i głuchym, i bardzo pewnym siebie — tak głuchym i tak pewnym siebie bywa się tylko wobec współczesnych — aby w tekstach witkiewiczowskich nie dostyszczyć czegoś bardzo zastanawiającego, nie mieszczącego się w żadnej analizie. Nie ma tam dobrze wypolerowanych zwrotów, układanych podczas dobrego obiadu (coś bardzo podobnego powiedział mi kiedyś Witkacy o Conradzie), słychać autentyczne szaleństwo. Dzisiaj nie ulega to wątpliwości: jego nos musiał wyczuwać zapachy, na które inni byli niewrażliwi. W obłądnie, którym tak gęsto racył swoje postacie, jego własny obłąd mieszał się z obłądem świata, który się dopiero teraz uwyraźnił. Nie był to obłąd wykonywany, jak to sądzili jego współczesni, płacy w swej trzeźwości i zgodzie, inaczej w ów wrześniowy dzień 1939 w jakimś pogranicznym miasteczku nie sięgnąłby po truciznę. Zdawało mu się, iż nadeszła katastrofa, którą prorokował i wyszedł jej naprzeciw. Okazał się gotów na jej przyjęcie. Okazało się, iż nie są to fenty stylistyczne, słychać w nich chrobot szczerów, które ścigały go całe życie, aż go w końcu dościgły.